



Foto: A. Mason

EuGeniusz Dębski "Pasożyt"

nimfa bagienna



Kilka dni temu, zupełnym przypadkiem, odkryliśmy w archiwach Redakcji, że EuGeniusz Dębski w tym roku powinien obchodzić trzydziestolecie swojej twórczości literackiej. Spóźniliśmy się, bo okazało się, że formalnie świętować powinniśmy w maju. Na nasze usprawiedliwienie możemy tylko dodać, że sam zainteresowany, jak nam zdradził, też zapomniał o swoim święcie. Myślał, że to dopiero za rok, a że trzydziestka już minęła, zorientował się o miesiąc za późno.

Ponieważ Gieno nie zdążył oświetować lubijeuszu, zdecydowaliśmy, że zrobimy to za niego dziś, publikując jedno z jego „prawie” debiutanckich opowiadań sprzed dosłownie 30 lat. Klasyczne SF od klasyka polskiej fantastyki.

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO EuGENIUSZU!!!

Życzenia składa Redakcja Fahrenheita

PASOŻYT

Oporna kuleczka za żadne skarby nie chciała wtoczyć się do środka labiryntu, co, w myśl umowy pomiędzy Kitem, Martinsonem i Babuschką, równało się zwolnieniu z przyrządzenia posiłków dla załogi. Niestety po raz osiemnasty rozległa się syrena, ściany labiryntu wsiąkły w podstawę, by po chwili ukazać się w zupełnie innym już układzie. Babuschka westchnęła i postanowił spróbować jeszcze dwa razy. Do pełnej dwudziestki.

Tym razem zastosował inną taktykę. Pchnął kulkę do przodu, a następnie puścił bezładną serię uderzeń z prawej i lewej. Licznik błędów radośnie zapulsował przekroczonym limitem, a kulka i

ścianki rozplynęły się. Babuschka pokazał wrednej maszynie język i już miał zacząć ostatnią grę, gdy drzwi otworzyły się i do sali relaksu wszedł Kit.

Babuschka szybko odsunął się od manipulatora w stronę regału z literaturą, odciągając niejako komandora od Labiryntu i zjadliwie pomarańczowej cyferki „19” w okienku licznika gier. Manewr prawie się udał, Kit, nie patrząc na tablo, przysiadł na płycie.

– Odbieramy bombę.

– O? O co chodzi? – Babuschka gorączkowo kombinował jak ściągnąć dowódcę na siebie.

– Jeszcze nie wiadomo. Zagramy? – Kit postukał palcem w skrzynię automatu, na którym siedział.

Babuschka zebrał cały swój zapas woli i słabo zaprzeczył.

– Ale na innych warunkach – kusił Kit.

– Nieee... Nie! – stanowczo już zaprzeczył Babuschka. – Na jakich?

– Za trafienie – podwójna stawka. Znaczy – podwajamy stan aktualny. Pięć sekund na wjazd do środka labiryntu. No?

„Pięć sekund? Chyba zwariował!” – przemknęło Babuschce przez głowę.

– A jeżeli nie wyrobisz się?

– Noo, też dwukrotnie... Będę ci winien... Ile tam? Dziesięć. I jak?

– Wal. – Babuschka przysunął się bliżej.

Kit odwrócił się do manipoola. Odblokował start, zatarł ręce i wyprowadził kuleczkę z lejka. Przez sekundę utrzymywał ją nieruchomo, a potem pchnął do przodu. Gdy wydawało się, że kulka stuknie w ściankę, uderzył mocno kolanem w skrzynię. Posłuszna kulka przeleciała nad ściankami, lądując w centrum labiryntu. Cała operacja trwała niecałe trzy sekundy. Kit triumfalnie uniósł brwi i rozłożył ręce, jakby pokazując, że nie miał drugiej kulki w rękawie. Potem pokazał Babuschce pięć palców i wyszedł.

Babuschka runął do maszyny. Trzęsącymi się rękami wyprowadził kulkę; drżała lekko, ale stała w miejscu. Oblizął wargi i walnął kolanem w skrzynię. Przeszywający ból rzucił go na podłogę. Jęczał i masował zdrętwiałą nogę, gdy nagle zauważył, że Kit przed wyjściem zdążył zablokować amortyzatory manipoola.

– Idziesz do sterowni czy poleżysz jeszcze chwilkę? – Głos Martinsona poderwał Babuschkę z podłogi. Stali, Kit z Martinsonem, w drzwiach. Poważni.

– Idę, idę. – Babuschka wyprostował się, i prawie nie kulejąc, podążył za kolegami.

Spokojna zielona linia na jednym z ekranów pulpitu łączności wskazywała, że trwa właśnie odbiór skondensowanej podstawowej informacji, a wskaźnik obok informował o przyjęciu już danych, niezbędnych do podjęcia pierwszych działań, zanim cały przekaz zostanie „rozciągnięty” i zdeszyfrowany.

Martinson i Babuschka usiedli w fotelach, Kit wysłuchał tekstu oparty o stół.

– Do wszystkich statków znajdujących się w odległości trzech jednostek od regionu Comoensa o ogranicznikach 17 i 264. Dotyczy statków: SP-122, SP-971, SP-886 i SP-349. Stopień ograniczenia informacji: dwa – zabrzmiało w głośnikach.

Babuschka gwizdnął cichutko – nie odbierał dotychczas informacji o tym stopniu ograniczenia. Że sprawa jest poważna – to wiadomo. Nie przysyła się bomby ot, tak sobie! Ale stopień dwa!?

– Szesnaście godzin temu zaginął SP-64. Okoliczności zaginięcia identyczne jak w przypadku SP-187. Rozwinięcie danych – w informacji podstawowej. Zachować szczególną ostrożność. – Głos umilkł.

– No i co? – Kit usiadł naprzeciwko Martinsona i Babuschki.

– Co „no i co?”. Nic. Lecimy tam i rozejrzemy się na miejscu.

– Co to za sprawa z zaginięciem SP-187? – Babuschka nie znał tej historii.

– Niewiele wiadomo. Zameldowali, że mają coś na kontaktowej. Potem to coś zaczęło uciekać. Zaczęli to gonić, weszli w tunel i... cisza do dzisiaj.

– Kiedy to było?

– Ze dwa lata temu. Przesłuchasz bombę, to się dowiesz. – Kit poinformował w ten sposób pilota o czekającej go pracy. – Na pewno będzie tam komplet informacji o obu zaginięciach. Martin, my poprowadzimy statek do Comoensa.

Z jednej strony było to niesprawiedliwe, ponieważ to Babuschka był pilotem i to on powinien wprowadzić statek w tunel. Z drugiej jednak – wiedział najmniej o tych zaginionych statkach, potulnie poczekał więc na zakończenie seansu i zabrał się do czytania raportów. Mniej więcej po godzinie dołączyli do niego pozostali, ale obaj wertowali tylko raport, koncentrując się na wybranych jego fragmentach.

Po trzech godzinach Babuschka przetarł oczy, zgarnął notatki i wstał od stołu.

– Skończyłeś? – Kit od dłuższej już chwili krążył po pomieszczeniu. Martinsona nie było.

– Tak. Wynotowałem tu parę momentów. Gdzie Martin?

– Przegląda nasze uzbrojenie. Zaraz skończy... to pogadamy.

– To ja zrobię coś do jedzenia.

– Byle szybko. I myśl. Cały czas myśl.

– Myślę, myślę. – Babuschka pobiegł do jadalni.

Parę minut później siedzieli w komplecie przy stole.

– Zaczynaj. – Kit łyknął ze szklanki.

– No więc tak. SP-187 zaginął dwa i pół roku temu... A może nie mówić o tym? Znać tę sprawę... – Babuschka spojrzał na przyjaciół.

– Mów. Może coś się skojarzy, przypomni...

– No dobrze. Trzyosobowa załoga, standardowy patrol. Spotkali coś, co nie dało się zbliżyć do siebie, uciekało, aż weszli w tunel i urwała się łączność. Żadnych śladów awarii, nic nie wskazuje na chorobę, halucynacje... Po prostu zniknęli – Babuschka wzruszył ramionami.

– Albo gdzieś pędzą... – mruknął Kit.

– No tak. Albo gdzieś pędzą – zgodził się Babuschka.

– Dalej – pogonił Kit.

– Teraz ten SP-64. Tu jest trochę nietypowo. Załoga jednoosobowa, tylko pilot, Kalet. – Martinson zacisnął pięści. Babuschka spojrział na niego zdumiony.

– No? – Kit wyprostował się w fotelu.

– Nawigator odwoził patroletkę komandora do bazy. Był ranny po przypadkowym wybuchu zbiornika tlenowego robota-sprawacza. I miał wrócić za trzy dni z zastępcą. W tym czasie osamotniony Kalet zameldował, że ma na optycznej gościa. Takiego samego jak w przypadku SP-187. Nadał serię sygnałów, ale pozostały bez odpowiedzi. Spróbował się zbliżyć, to coś uciekało. Zameldował, że będzie to gonić jakiś czas, potem wyłączył łączność i zniknął. Wiemy jeszcze, że rozpędzał statek aż do podświetlonej i że wszedł w tunel. Tak samo jak tamci. I od tego czasu cisza. – Babuschka łyknął soku. Przygotowanego naprędce obiadu nikt nie ruszył.

– Taaak... – Martinson uniósł głowę i popatrzył na kolegów. – Mamy gości...

– Stosują stałą taktykę – pośpieszył się wtrącić Babuschka. – Wabią statki iii... pyk! – Strzelił palcami.

– Co „iii!” – rzucił się Martinson. – Na razie nic konkretnego nie wiemy. Polecieli za nimi, a to jeszcze nie znaczy, że nie wrócą. – Wstał od stołu.

– Idę spać. Wam też radzę. Sądzę, że mamy parę godzin czasu.

Mylił się. Wyszli z tunelu po osiemdziesięciu minutach i rozpoczęli hamowanie. Jeszcze dwadzieścia minut na statku panowała cisza. A potem...

Sygnał alarmu uruchomił Kit. Gdy Babuschka wpadł do sterówki, Martinson był już tam również. Obaj przykleili się do radaru dalekiego zasięgu. To coś było jeszcze za daleko, by inne automaty mogły je zauważyć.

Babuschka zajrzał Martinsonowi przez ramię.

– Jaka odległość?

– Masz... – Martin podał pilotowi dane, a sam podszedł do swego pulpitu i zaczął coś obliczać. Babuschka nie zdążył nawet skończyć odczytywania, gdy usłyszeli głos Kita:

– Na miejsca.

Babuschka jednym susem dopadł swego fotela.

– Babuschka, podchodzimy do niego tak, żeby za trzy godziny mieć go na optycznej. A gdyby uciekał... – zacisnął szczęki – ... gonić.

– Rozkaz. – Babuschka dał wytyczne komputerowi i wlepił wzrok w małą seledynową plamkę na ekranie.

To coś było romboidem. Widzieli go wyraźnie, gdy zbliżyli się na odległość sześciu kilometrów. Zastopowali.

– Martin, polecisz patroletką. Bardzo ostrożnie, rozumiesz? Bar-dzo! Babuschka, noga na gazie. Wszystko jasne?

– Tak – mruknął nawigator i wyszedł. Babuschka skinął tylko głową.

Po paru minutach Martinson pojawił się na ekranach. Odbił od statku

i najpierw odszedł trochę w bok, a dopiero potem skierował się w stronę obcego.

„Schodzi z linii ognia”, zrozumiał Babuschka, i chyba dopiero teraz odczuł powagę sytuacji. Rzucił okiem na Kita. Tamten, pozornie spokojny, ścisnął w dłoni spust miotacza. W głośniku rozległ się spokojny głos Martinsona:

– Trochę ponad dwa kilometry od obiektu. Wisi nieruchomo. Na pewno jakiś metal, wyniki analizy za chwilę. – Pauza. – Dwa kilometry... Tysiąc dziewięćset...

– Zatrzymaj się na chwilę i nadaj... – Kit nie dokończył zdania.

– Ruszył do przodu! Ucieka! Prędkości mamy identyczne. Może przyspieszyć?

– Przyciśnij trochę. Jakby uciekał, dogonimy cię i weźmiemy na pokład.

– Dobra.

Babuschka, trzymając w ręku dźwignię przyspiesznika, spojrział na boczny ekran. Odległość między patroletką i obcym obiektem pozostawała niezmienną – tysiąc osiemset sześćdziesiąt siedem metrów i czterdzieści dwa centymetry.

– Niesamowite – mruknął Kit.

– Co? – Babuschka nie dosłyszał.

– Mówię, niesamowite. Nieważne. Martin!

– Jestem.

– Spróbuj gwałtownie przyspieszyć. My ruszamy za tobą. – Kit spojrział na Babuschkę i skinął głową.

Babuschka trącił delikatnie dźwignię, statek płynnie ruszył za uciekającym obcym i goniącym go Martinsonem.

– Kit! Damy pełny ciąg, co? Bo tak to na nic. Odległość bez zmian.

– Wracaj na statek. Zabraniam! Słyszysz?! – Babuschkę zdziwiła gwałtowność, z jaką zareagował Kit na propozycję nawigatora.

– Wracam – ponuro mruknął Martinson.

Kit pstryknął w klawisz łączności i odwrócił się do pilota.

– Kalet to stary przyjaciel Martina. Jeszcze z Akademii – powiedział i przywrócił łączność.

W sterowni zapadła cisza, którą przerwało dopiero wejście Martina.

– Żeby go diabli! – Trzasnął w stół. – Ja gaz, on też. Ja staję, i on staję. Jakie ma opóźnienie manewru w stosunku do mnie? – Obejrzał się na Babuschkę.

– Prawie żadne. Sześć stomilionowych sekundy.

– Phy! To lepiej, niż by dał nasz komputer. – Kit usiadł w fotelu i wyciągnął nogi. – Co proponujecie?

– Ja! – Martinson podniósł rękę. – To jest na tyle małe, że nie może mieć silnika o mocy równej naszemu. Musimy zbliżyć się na odległość mniejszą niż te tysiąc dziewięćdziesiąt metrów. Wtedy „to” będzie musiało jakoś zareagować. Bo patroletką nie dogonimy.

– Babuschka? – Komandor przeniósł wzrok na pilota.

Babuschka chciał coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Wzruszył ramionami.

– Chciałeś coś powiedzieć? – Kit zauważył wahanie kolegi.

Na razie spróbujemy dopaść tego cwaniaczka, gdyż może się myłę. A jak nie wyjdzie, to powiem, co mi chodzi po głowie.

– No to „dopadaj”. Ale wiesz, bez przesady.

Babuschka odwrócił się do pulpitu, poczekał aż pozostali zajmą miejsca w fotelach. I skoczył. Na chwilę pociemniało mu w oczach, ale zdążył zauważyć, że Kit położył dłoń na ograniczniku ciągu. Przyspieszył jeszcze.

Gnali teraz jak przywiązani. SP-122 i obcy. Wbrew przewidywaniom nawigatora ani razu nie udało im się przekroczyć granicy tysiąca ośmiuset sześćdziesięciu siedmiu metrów. Co gorsza, „obcy” przykleił się do statku Babuschki i, mimo chytrych manewrów pilota, raptownych przyspieszeń i gwałtownych hamowań, nie udało się strącić przybysza z kursu.

– Babuschka, to nie ma sensu. I zrobiło się jeszcze dziwniej. Miałeś coś powiedzieć. – Martinson wstał z fotela i podszedł do pulpitu sterowniczego.

– Najpierw muszę to sprawdzić. – Babuschka spojrział na dowódcę.

– Sprawdzaj. Ile chcesz czasu?

– Godzina na pewno wystarczy. – Zerwał się i podskoczył do klawiatury komputera.

Wystarczyło dziesięć minut. Babuschka wstał z fotela i odwrócił się do Kita i Martinsona. Wskazał im fotele.

– Siadajcie. – To była chwila jego triumfu. Sam usiadł naprzeciw.

– On się od nas odpycha.

– Jak? – Kit wydawał się mniej zdziwiony, niż się Babuschka spodziewał.

- Od energii. Od otaczającego nas w promieniu dwóch kilometrów pola energetycznego.
- Cooo? – Martinson nie był tak opanowany jak dowódca.
- A gdzie jest ten twój silnik, co to miał być słabszy od naszego? – Zapadła chwila ciszy. – To jest tak. – Babuschka przysunął się do stołu.
- Wyobraźcie sobie muchę w bańce mydlanej. Mucha, fruując, nosi tę bańkę na sobie. A na bańce siedzi druga mucha. I w ten sposób te muchy nigdy... no? Nie-zet-kną-się! – wysylabizował.
- Te dziesięć minut to ci chyba było potrzebne do wymyślenia tej wyrafinowanej paraleli. – Kit wstał i podszedł do komputera – To dowód? – Wskazał na pulpit.
- Tak. Zużywamy więcej mocy niż bez tego... pasożyta. Niewiele, ale zawsze...
- Taaak... – Kit potarł podbródek. – Ciągnie z nas... I można być pewnym, że tak łatwo się nie odcepi.
- Ludzie! O czym wy? Przecież to jest kontakt. Kontakt! I ten jego napęd! Cudo! A wy? Jak by tu uciec...
- Nie przesadzaj. – Babuschka uniósł się honorem. – To...
- Cisza! – przerwał Kit. – Martin ma sporo racji. Zrobimy tak. Spróbujemy złapać ptaszka...

Po dwudziestu minutach plan wykrystalizował się, a jeszcze po pół godzinie osiem sterowanych przez komputer robotów wypłynęło w przestrzeń kosmiczną. Rozpierzchły się na pozór bezładnie, ale po paru minutach osiągnęły pozycje przewidziane przez komputer i na jego sygnał zaczęły ze wszystkich stron zbliżać się do obcego.

Trzy pary oczu biegało od ekranu z dziewięcioma błyszczącymi kropkami do wskaźnika odległości pomiędzy robotami a obiektem. Trzy tysiące... dwa sześćset... dwa sto... Dwa! Babuschka przygryzł wargi. Tysiąc dziewięćset... tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt... osiemdziesiąt... siedemdziesiąt... sześćdziesiąt osiem... siedem...

Obcy szarpnął się konwulsyjnie, rzucił w jedną stronę, w drugą. Tysiąc osiemset dwadzieścia... Tysiąc siedemset pięćdziesiąt. Nieznany statek drżał wyraźnie. Wpadł we własne sidła – odpychając się od pól wszystkich robotów pozostawał w miejscu. Nagle rzucił się jeszcze raz w bok, odbił od niewidzialnej ściany, zatańczył jak kuleczka między ściankami labiryntu manipoola i wyprysnął spomiędzy robotów. Oskoczył od nich i zamarł.

Martinson dał komputerowi rozkaz powtórzenia operacji. Potem jeszcze raz. I jeszcze. Potem załoga usiadła znowu przy stole.

- Jak mokre mydło... – Kit spojrzął po kolei na pilota i nawigatora.
- Roboty mają nierówne pola. I jest ich za mało... To się nie mogło udać. – Babuschka był niepokieszony.
- To wiadomo. Tylko co dalej?

Martinson chrząknął.

- To zależy od tego, co to jest, Bo jak jakiś energetyczny pasożyt, to nie możemy go ściągać na

Ziemię. Ale może być również coś innego...

– Ryba pilot – mruknął Babuschka.

– Co mówisz?

– Ryba pilot. Przewodnik. Ma nas gdzieś zaprowadzić.

– To ciekawe, ale chyba nie masz racji. Ten twór, albo stwór, nie kieruje nami. On leci tam, gdzie my. Tyle że naszym kosztem.

– No to zostaje pasożyt. – Babuschka zrezygnował z bronięcia hipotezy.

– I to właśnie prześlemy Centrali jako przyczynę zaginięć. – Babuschka zmarszczył brwi, nie nadążał za tokiem rozumowania Kita.

– SP-187 pognął za tym pasożytem, nie wiedząc tego, co my już wiemy.

I mogło im się przydarzyć wiele rzeczy. Zresztą ten drań musi być bezbronny. A Kalet... To zupełnie inna historia...

Zaległa cisza, a potem Kit złożył wyczerpujący meldunek Centrali. Na odpowiedź czekali kilka godzin i cały ten czas na ekranie widniał czyhający w odległości niecałych dwu kilometrów obcy.

A potem Kit odebrał odpowiedź.

– Pozbywamy się gościa – podsumował.

– Poświęcimy patroletkę? – stwierdził raczej niż zapytał Babuschka.

Kit skinął głową.

Po godzinie pędząca przed siebie patroleтка i mknący przed nią radośnie obcy byli już daleko.

Martinson został w sterowni. Kit wymówił się sennością. Babuschka powlókł się do sali relaksu. Odruchowo odblokował manipool i wyprowadził kuleczkę z lejka. Minęło dwanaście sekund i leżała w samym środku labiryntu. Jakoś zupełnie ten sukces Babuschki nie ucieszył. Patrzył w pulsujący zwycięsko sygnał trafienia i myślał o Kalecie.

Kalet nie miał patroletki. Kalet nie chciał ściągać obcego na Ziemię. Nie miał dużego wyboru. Więc wybrał to, co mógł.